Rok II. Kraków, dnia 1go Grudnia 1870. Nr 23.



wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca.

Prenumerata: wynosi rocznie 4 złr. lub 2 tal. 15 sgr. — Półrocznie 2 złr. lub 1 tal. 8 sgr. — Kwartalnie 1 złr. lub 20 sgr.
Listy i prenumeratę przesyłać należy pod adresem: Do redakcyi „Włościanina“ Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.
Ogłoszenia przyjmuje się po 4 centy za miejsce drobnego wiersza, z dopłatą 30 cent. za stempel, za każdorazowe umieszczenie.

TRZECIE OPOWIADANIE
U MARCINA
o ciałach niebieskich.

— A witajcie, mili ludzie! — przemówił Marcin do swoich słuchaczy, gdy się znowu zeszli przed jego chatą. — A co ja widzę! To i Błażéj Krupa między nami?..

— A tak, zacny Marcinie! — zagadał Błażéj Krupa. — Przychodzę, bo się chcę nauczyć ciekawych rzeczy. Nie byłem przeszłym razem, bo nie miałem czasu. Ludzie zaś oczernili mię po całéj wsi, że ja się naśmiéwałem z waszych gadek. Człowiek lekkomyślny, to prawda, ale rozwidnia się mi w głowie, że żyjąc na świecie, trzeba o nim choć cokolwiek wiedzieć, dla tego przepraszam was pięknie za złośliwych i ciemnych ludzi...

— O bodaj tak każdy robił i garnął się do oświaty i chciał mieć o niéj przekonanie! — westchnął Marcin. — Ale przystąpmy do rzeczy, bo szkoda czasu! Mówiłem wam zeszłego wieczoru, że jest jeszcze coś takiego, co nie pozwala, żeby rzecz jaka spadła ze ziemi. Wiemy już o tém, że ziemia jest okrągłą i ma u góry i u dołu morza na sobie, a przecież woda z nich nie zleje się ani z góry na dół ani z dołu do góry, bo pan Bóg najdobrotliwszy tak urządził świat ten niezmierzony, że wszędzie jest ład i porządek, dla tego:

Gdziekolwiek myślą twoją uderzysz,
I czy uwierzysz, człeku, czy zmierzysz,
Po całym świecie znajdziesz ład wszelki;
Bo świat Boży, a Bóg jest wielki...

A przytém włożył Bóg do ziemi taką dziwną siłę, która wszystko do siebie przyciąga i z téj racyi nic z niéj spaść nie może. Siła ta zowie się *siłą przyciągającą*. Toż choćby ludzie nie wiem z jakiéj armaty wystrzelili kulę, to ona koniecznie spadnie na ziemię, bo kulę tę przyciąga siła ukryta w ziemi, choć jéj nie widzimy i nie czujemy. Ciągle ona czynna i przyciąga ustawicznie. Tak samo i my nie czujemy ciężaru głowy, bo ją ciągle nosimy, a Bóg stworzył ciało do dźwigania głowy. Ciągle dźwigamy powietrze na sobie, choć to ciężar wielki, a przecież go nie czujemy. Siła przyciągająca ciągle przyciąga nas do ziemi, a choć jéj nie widzimy i nie czujemy, to ztąd nie wynika, że jéj nie ma.

— Ależ, mój Marcinie! — przerwał Wacław Burek, — to chyba musi być jakiś wymysł ludzki! Kiedy jéj widzieć i czuć nie można, to jakże się ludzie przekonali, że ona jest rzeczywiście?

Na to powié Marcin z zastanowieniem:

— A widzieliście wy kiedy krzesiwko?

— A toć nie raz widziałem — odrzekł Burek.

— Przyłóżcie je więc do igły, a zobaczycie, jak ona przyczepi się do niego, bo w krzesiwku jest magnes, który ma siłę przyciągającą. A nie słyszeliście to nieraz, jak w czasie burzy piorun uderzył w żelazo? Owoż ztąd wynika, że żelazo ma także siłę przyciągającą, dlatego w czasie burzy nie trzeba mieć przy sobie żelaza. A przecież siły téj nie widzimy ani jéj nie czujemy, a że jest, to się przekonać możemy. Długie też wieki nie wiedzieli ludzie o téj sile w żelezie, magnesie i innych rzeczach. Tak samo nie wiedzieli o sile przyciągającéj w ziemi. A że jest, można się przekonać każdego czasu, za każdém spadaniem wyrzuconego w górę kamienia, bo że kamień spada, to tylko sile przyciągającéj przypisać należy.

— Ha, ha, ha! — zaśmiali się ludzie.

— I cóż wy też mówicie? — wtrącił Grzegórz Bobek. — Wszakże kamień dla tego spada, bo jest ciężki!..

Na to odezwał się Marcin:

— Tak się wydaje tym, którzy nie wiedzą o sile przyciągającéj. Rzecz jednak ma się inaczéj. Wyrzućmy np. kamień mający pięć łótów do góry. Z początku będzie spadał po mału, a im bliżéj ziemi, tém prędzéj spadnie. Gdy go podrzucimy nie wysoko, to go każdy śmiało schwyci, lecz gdy leci z wysokości, to się go chwytać nikt nie odważy. A czyż przez to, że był wyżéj, więcéj nabył ciężaru? Czy spadając na ziemię, chciał bliżéj niéj lecieć prędzéj? Nie, ani nie zciężał, ani nie chciał spadać prędzéj, bo to była sprawa siły przyciągającéj. Ona go przyciągała. Wiedzmy więc, że jest taka siła i ona to sprawia, że wszystko na ziemi zostać musi, chociaż jest okrągłą. Można się przekonać jeszcze na inne sposoby, że jest siła przyciągająca w ziemi, ale to nie nasze głowy.

— A wielka też jest ziemia? — zapytał Jędrek.

— O pewnie że wielka! — odpowiedział Marcin. — Choćbym chciał wam dać pojęcie o jéj wielkości, to nie mam jéj z czém porównać, dlatego choć w ten sposób przekonacie się o jéj wielkości. Gdyby kto chciał przebić ziemię na drugą stronę żelaznym drągiem, to musiałby mieć 1.719 mil długości, a gdyby chciał ziemię do koła opasać sznurem, to sznur ten miałby 5.400 mil długości. A gdyby chciał obejść ziemię do koła, a nie przeszkadzały mu góry i morza a szedłby po pięć mil dziennie, to i tak trwałaby jego podróż, nimby wrócił do domu, trzy lata.

— A do jakich też gwiazd należy ziemia? — zagadał Wawrzyniec Kotara.

— Do planet — odrzekł Marcin — bo nie ma swojego światła, obraca się około gwiazdy stałéj czyli słońca i od niego otrzymuje światło.

— A to się ziemia obraca, nie stoi? — zagadnął Jędrek.

— Dawniéj myśleli ludzie — opowiadał Marcin — że ziemia stoi a słońce obraca się koło niéj. I tak myślano długie wieki. Dopiéro słynny nasz rodak Mikołaj Kopernik (urodz. 19 lutego 1473, a zmarły 1543) przekonał ludzi, że słońce stoi a ziemia się obraca.

— A jakżeby to być mogło? — wtrącił Błażéj Krupa.

— Juścić niejednemu — odparł Marcin — wydaje się to trudną rzeczą do zrozumienia, bo sobie myśli: Gdyby się ziemia obracała, tobyśmy to czuli pod nogami, a możeby się rzeczy na niéj przewracały? Gdy wyjdzie rano na pole, a spojrzy na wschód, widzi, że słońce podnosi się do góry, a patrząc wieczór, widzi jak ono się kryje gdzieś na dół pod ziemię. I gotów przysiądz, że ziemia stoi a słońce się obraca. Ale to jest tylko złudzenie i tak się tylko zdaje człowiekowi. A można się o tém przekonać w ten sposób. Gdyby ktoś stanął w środku izby, a potém obracał się w około, to mu się wyda, że on stoi w miejscu a łóżka, szafy i obrazy uciekają... Tak samo gdyby płynął na wodzie, to mu się wyda, że woda płynie pod górę, brzegi z domami i drzewami uciekają a łódka stoi w jedném miejscu. Podobnie dzieje się i z ziemią. Ona się porusza, a nam się wydaje, że my stoimy a słońce obraca się po nad głowami naszemi. Że zaś nie czujemy ruchu ziemi, to ztąd pochodzi, że się odbywa regularnie, a ziemia jest bardzo wielką kulą i przytém bardzo prędko leci. Ztąd też na niéj nic przewrócić się nie może. Widzieliście przecie nieraz chłopców w zakrystyi, jak turybularzem czyli kadzielniczką, węglami napełnioną, wywijali do około po nad głową. Czy im wypadł choćby jeden kawałek węgla? Nie, bo w tak spiesznym ruchu nie ma czasu, żeby coś odpaść mogło. Gdyby zaś chłopcy puścili z ręki kadzielniczkę, odleciałaby daleko a węgle rozsypałyby się niezawodnie. I z ziemią takby się stało, iżby spadła gdzieś w przestrzeń nieba, gdyby jéj słońce nie przyciągało, jak to podobnie stałoby się z kadzielniczką, gdyby jéj chłopcy nie przyciągali za pomocą łańcuszka. I słońce więc ma siłę przyciągającą, dlatego ziemia swobodnie unosi się w przestrzeni nieba, a że i ona ma taką siłę, z tego więc powodu nic z niéj spaść nie może. Ale gdyby siła przyciągająca słońca była mocniejszą od pędu ziemi, toby ziemia spadła na słońce... Tak atoli nie jest...

— A jak się też możemy przekonać, że ziemia obraca się z pewnością? — zapytał Wacław Burek.

Na to powiedział Marcin:

— Najlepiéj po tém, że mamy dzień i noc, cztéry pory roku. Zresztą, gdyby się ziemia nie obracała, toby gwiazdy na niebie nie zmieniały względem nasi swojego położenia i całe niebo musiałoby się codziennie obracać na około ziemi. Ona jednak okręca się codziennie około siebie, posuwa się daléj i w roku okrąża słońce. Z okręcania się ziemi codziennego powstaje dzień i noc, a z obiegania jéj rocznego na około słońca, powstają cztéry pory roku, o czém opowiem wam dokładniéj przyszłym razem, bo już dzisiaj nie mam czasu.

Marcin wszedł do chaty, a ludzie rozeszli się w swoje strony. *Józef z Bochni.*

O pierścieniu królewnéj.

Podanie nadwiślańskie.

Hej dawno, nie sto lat, nie dwieście już temu,
Królował Łokietek ludowi polskiemu,
A dzielnie i chrobrze królował król biały,
Że Niemiec i Rusy w respekcie go miały.
I wrogów ojczyzny zgromiwszy król stary,
Rad na wsi mieszkiwał, szedł w pola i jary,
Polował śród borów a z ludem siadywał,
Lub z dworem rybackiéj uciechy zażywał...
Boć pomniał król dobry jak w czasach ucisku
Chłop polski go chował przy cichém ognisku,
I pomniał — jak w chłopa sukmanę odziany
Z wygnania do Polski powrócił kochanéj.
I byłoć nad Wisłą jesiennym wieczorem —
Król z wędą rybaczą z swym rozsiadł się dworem,
A w trzcinach nadbrzeżnych, w nadbrzeżnych szuwarach
Szumiało mu ptactwo w poswarach i gwarach.
Przy boku królewskim przecudnaż, powiewna
Jak lilija siedziała córeńka królewna;
Siedziała, siedziała, o gwiazdach marzyła
I w ręku się złotym pierścionkiem bawiła.
I czy ją postraszył plusk rybki pod nóżką?...
Twarzyczka pobladła, rumiane jabłuszko
Czy stado cyranek spłoszyło królewnę?
Łza trysnęła z źrenicy na liczko, na rzewne...
— Oj ojcze, ojcusiu! złe wielkie się stało;
Patrzyłam za rybką, patrzyłam za białą,
I w rożki księżyca patrzyłam, jak błysły —
I pierścień mój złoty upadł mi do Wisły!...
Król stary córeńkę otoczył dłoniami:
— Oj nie płacz, królewno z modremi oczami,
Oj nie płacz, córeńko, szkoda twéj urody!
Stu paziów, jak kaczki wnurkuje do wody...
I paziów zwoławszy, rzekł ojciec stroskany:
— Hej pazie! pierścionek córeńki kochanéj
Padł w wodę wiślaną: złe wielkie się stało;
Padł w wodę, gdy oczko za rybką patrzało!
I pazie złociści, jak cyranek stado
Rzucili się nurkiem w wiślaną fal bladą;
Za każdym w księżycu koło się srébrzyło:

Rzucili — wrócili — pierścionka nie było.
— Oj ojcze, ojcusiu! żal mojéj urody;
Pierścionek miał nosić małżonek mój młody.
A kiedym nim w ręku kręciła, błyszczała,
O mężum rycérzu, o pięknym myślała....
— Córeczko ma biała, córeczko jedyna,
Kto pierścień przyniesie, wezmę go za syna.
Hej moi rycérze! kto z wody wiślanéj
Z pierścieniem wynijdzie, ten zięć mój kochany!
Na głos ten, na złoty, jak czapel gromada
Ku wodzie, ku srébrnéj, rycérzy tłum pada;
Zniknęli — fal tylko szumiała nad nimi
I księżyc zdziwiony patrzał się po ziemi.
W szuwarach gwar ptactwa przycichnął zmącony,
Że słychać jak serce królewnéj strapionéj
Kołata niepewnie jak dzwonek na wietrze,
I słychać jak brzęczy muszkami powietrze.

(Dokończenie nastąpi.)

O Janie Sobieskim.

W r. 1688 i 1689 był na dworze tego króla pewien ksiądz z Francyi i opisał dwór jego. Jeden ze znakomitych pisarzy naszych przetłomaczył ten opis, z którego wyjmujemy ciekawą wiadomość o Janie Sobieskim czyli tak zwanym Janie III. Pochodził on z sławnego domu Sobieskich. Nim został królem, był wielkim marszałkiem i wielkim hetmanem koronnym. Koronował się d. 2. lutego 1675 r. Wié cała Europa, że osobista zasługa wyniosła go na stopnie tronu. Jego dzieła rycerskie tak zgubne dla Turków i Tatarów, jego zwycięztwa chocimskie, gdzie własną ręką zabił baszę Solimana, jednego z dwóch wodzów tureckich — dostatecznie mówiły za nim. Nie mogę przemilczeć rysu wspaniałomyślności, jakiéj dał dowody w dniu swojéj elekcyi (obioru). Pewny, że ma więcéj głosów niż potrzebował, aby zostać królem, a wiedząc przytém, że większość Litwinów nie była zadowolona z jego wyniesienia, odezwał się głośno w obec zebranego rycérstwa, że całemu zgromadzeniu dziękuje za zaszczyt wybrania go na króla, że nie zasłużył na takowy, albowiem wiele jest umysłów przeciwnych temu obiorowi, on zaś dopóty nie przyjmie korony, dopóki nie nastąpi zgodność głosów. Zawieszono więc wota do dnia jutrzejszego, a nazajutrz umysły tak były zjednane, że jednogłośnie został obwołanym. Odsiecz Wiédnia zrobiła mu sławę europejską. 200.000 Turków pierzchło na samą wieść, że się zbliża król polski. Pan ten liczy się do najpiękniejszych mężczyzn, jakich znałem — mówi ksiądz — słuszny wzrostem, silnéj budowy i otyły. Otyłość jest właściwa wielu Polakom. Cery na twarzy białéj, okraszonéj rumieńcem; oczy w ślicznéj oprawie, nos orli, usta wdzięczne, zęby zdrowe; przytém wielce uprzejmy, wspaniały, sprawiedliwość lubiący, pełen roztropności i gorącego nabożeństwa. Dowcipu niepospolitego, zawołany teolog, filozof, matematyk i historyk. Anielską posiada pamięć, mówi wybornie po łacinie, po polsku, francuzku, włosku, niemiecku, turecku i tatarsku; zresztą prędko rozstrzygający drobne sprawy, lecz w ważnych bardzo rozważny. Kocha się w pieniądzach i z tego powodu mają go za skąpego. Można powiedzieć, że król ma najlepszą głowę w rzeczypospolitéj; brakuje mu tylko powagi. Temperament jego silny i wytrzymały na trudy. Dzisiaj tak ciężki, że nie może już dosiąść konia. Lubi przestawać z osobami uczonemi i dowcipnemi; sam wiele czyta, a z natury jest wesoły i żartobliwy.

Na dzień raz tylko jada obiad trwający od 1széj do 4téj godziny. Wiele jé i pije a śpi krótko; zazwyczaj wstaje między szóstą a siódmą, chociaż późno spać idzie. Jest kawalerem orderu św. Ducha i nosi niebieską wstęgę.

Ludwik XIV., król francuzki, posłał mu był wstęgę i krzyż dyjamentowy wartości najmniéj 50.000 talarów; ozdoba ta bardzo mu do twarzy. Zazwyczaj nosi on żupan ze złotogłowu z pasem dyjamentami wysadzanym; na wierzch żupana wdziéwa kontusz albo rodzaj sukni podbitéj sobolami, cenionéj na tysiąc ludwików; na niéj wyhaftowany srébrem krzyż św. Ducha. Spinka dyjamentowa utrzymuje tę suknię pod szyją. Na głowę kładzie czapkę polską obłożoną sobolami z wielkim węzłem drogich kamieni nad czołem; u boku ma szablę kameryzowaną, a w ręku obuch również wysadzony kamieniami.

Słowem ma na sobie dyjamentów więcéj niż za 200.000 talarów. Wszyscy zresztą Polacy są ubrani i uzbrojeni w ten sposób, stósownie do swego stanu i możności. Król kocha bardzo swą małżonkę i dzieci. Oto jest obraz doskonałych przymiotów i obyczajów tego pana. Wprzód nim został królem, nazywano go wielkim Sobieskim.

Najbogatszy to pan w rzeczypospolitéj. Skarbiec jego wynoszący 20 milijonów, złożony w Malborgu; wieksza część Rusi Czerwonéj, zkąd jest rodem, do niego należy.

Winienem tu zrobić uwagę, że skoro król zostaje obranym, nie wolno mu odtąd kupować żadnych dóbr, nawet i morga ziemi.

Opowiem także o pięknym czynie Sobieskiego przed jego obiorem na króla.

Onego czasu, gdy Sobieski stoczył wielką bitwę z tatarskim chanem, wziął go był do niewoli i trzymał w jednym z swych zamków na Rusi. Stało się, że nieznacznie zawiązała się między nimi ścisła przyjaźń. Chan rzekł do niego pewnego razu:

— Co chcesz za mój okup?

Na to odrzekł Sobieski, że mu da odpowiedź za kilka dni, które gdy minęły, przyszedł doń i rzekł:

— Wiész o tém, panie, jakom robił wszystko, co w mojéj mocy, aby smutek twój umilić i uczynić ci niewolę znośniejszą. Dziś więc chcę ci okazać jak wysoko cię cenię. Oto masz cztéry tysiące żołnierza, który cię odprowadzi do ojczyzny; idź w pokoju i bądź mi przyjacielem!

Wielki chan tak powiedział:

— Nigdy z pamięci mojéj nie wyjdzie dowód téj wspaniałomyślności, a dopóki będę na tronie, wdzięcznym być nie przestanę. Jeżelibyś kiedy popadł w ręce moje, jak ja dziś w twoje popadłem, oddam ci wet za wet. Przyrzekam wojskami memi nie trapić cię nigdy.

I dochował święcie przyrzeczenia.

Nieraz Sobieskiemu robiono wyrzuty, że umyślnie sprowadzał Tatarów, aby pustoszyli majątki szlacheckie. Bohater ten odpowiadał na te potwarze zwycięztwami. W téj myśli jeździli do niego komisarze z pod Gołębia i mieli go oskarżać o zdradę. Sobieski wskazał im pola kałuskie, zasłane trupami i oskarżyciele leżeli u nóg jego.

Takich mieliśmy królów!

Błędne światełko.

W pewnéj wiosce nad jeziorem mieszkał w schludnym domu gospodarz Stanisław Kulpa, którego w całéj wsi powszechnie zwano gawędziarzem. Z téj więc przyczyny zgromadzało się w niedziele lub święta wielu sąsiadów u niego i opowiadano sobie różne zdarzenia lub bajeczne wypadki. Szczególnie Stanisław Kulpa miał jakiś dar do opowiadania, że swych słuchaczy bardzo zajmował, a słowa jego pamiętał sobie każdy bardzo długo. Pewnéj niedzieli, a było to około Wszystkich Świętych, miał Stanisław Kulpa więcéj w swoim domu gości, niż zwykle. Jeden z gospodarzy, nazwiskiem Szymon Czajny, widząc Stanisława w zamyśleniu, przystąpił do niego i rzekł:

— Stanisławie, cóż wam takiego dolega, żeście tak posmutnieli i mało się odzywacie? Przywołajcie lepiéj Kasię, niech przyniesie od Szmula napitku, to się wszyscy napijemy, a zaraz weseléj pójdzie nam rozmowa.

Stanisław nie dał się długo namawiać, posłał swą córkę po napitek, a wnet żywiéj wszczęła się pogadanka. Podochocony Stanisław rozprawiał o zaklętych duchach, o wilkołakach, o zakopanych pieniądzach, które się raz w rok w nocy przepalają, i o światełkach błędnych, które wskazują ludziom miejsca, w których są ukryte skarby. Prowadząc swoje opowiadanie, przysięgał się, że jego nieboszczyk ojciec widział błędne światełka, które znikały w oka mgnieniu nad jeziorem. Raz nawet ujrzał w nocy wychodzący płomyk z ziemi, a gdy pobiegł po żonę do domu, aby wzięła motykę, już nie było światełka po ich powrocie. Rozciekawili się słuchacze tém opowiadaniem, a szczególnie Szymon Czajny zamyśliwszy się, rzekł do Stanisława:

— A i ja widziałem takie światełko, gdy jechałem w nocy z koniami na paszę; strach mię ogarnął, gdy się blizko mnie przesunęło, ale szkoda, że nie wiedziałem, co ono oznaczało!...

Stanisław wyjaśnił mu sprawę, że w tém miejscu przepalały się pieniądze, i gdyby był pobiegł za tém światełkiem i rzucił na nie jakiś przedmiot, toby był wykopał pieniądze z ziemi.

Opowiadania podobnéj treści ciągnęły się aż do późnéj nocy. Kiedy gospodarze opuścili dom Stanisława, jedni wierzyli temu opowiadaniu, inni zaś rozsądniejsi mówili, że to być nie może, by się pieniądze przepalały w ziemi. Jeden tylko Szymon zachował sobie w pamięci te słowa, bo mu się to spodobało, iżby mógł w łatwy sposób zostać bogaczem całą gębą. Od tego czasu był on nieodstępnym towarzyszem i przyjacielem Stanisława. Obydwa mieli zawsze z sobą wiele do rozmowy, a zamiast iść do kościoła na mszę św. lub na kazanie, to poszli do karczmy i tam przy kieliszku wódki rozprawiali do późnéj nocy, poczém wracali do domu ciesząc się jakimś nowym pomysłem. A mając zabobonami zajętą głowę, włóczyli się po nocach, aby ujrzeć światełko. Wielu gospodarzy widząc ich ustawicznie z sobą rozmawiających, śmiali się z nich i mówili:

— Stanisław Kulpa i Szymon Czajny chcą koniecznie zostać bogaczami, bo szukają w nocy zakopanych pieniędzy....

Zdarzyło się, że pewnéj niedzieli przyjechał z poblizkiego miasta bogaty kupiec do téj wioski, a spytawszy się o mieszkanie wójta, poszedł do niego i prosił, czyby nie pojechało kilku zamożniejszych gospodarzy ze zbożem na granicę węgierską? Wójt zwołał gospodarzy, wyjawił im życzenie kupca, który dodał, że im dobrze zapłaci za furmankę, byleby mu tylko o pewnym czasie zboże zawieźli na oznaczone miejsce. Nie długo trwała ugoda z kupcem. Gospodarze wzięli zadatek i przyobiecali, że na trzeci dzień, to jest we wtorek o świcie przyjadą do miasta. Był między nimi Stanisław Kulpa i Szymon Czajny.

Kiedy we wtorek jutrzenka ukazała się na niebie, a piérwsze promienie słońca zabłysły na wschodzie, już wszyscy domownicy Stanisława byli na nogach, a żona jego Teresa ciesząc się, że mąż jéj zarobi na furmance, a oprócz tego zapomni o błędnych światełkach, krzątała się około komina i przyrządzała mężowi śniadanie, zaopatrując go także w żywność na podróż. Stanisław zaś wytoczywszy wóz na podwórze, zaprzęgał konie dając napomnienia sługom, aby doglądali gospodarstwa. Kilka wozów zaturkotało na gościńcu, i przed domem Stanisława stanął Szymon Czajny, czekając na swego sąsiada, aby jechali razem. Kiedy i Stanisław już był gotów do podróży, zrobił biczem znak krzyża św. przed koniami i pożegnał się czule ze swą Teresią, która ocierając łzy fartuszkiem, rzekła żartobliwie:

— Nie myśl też tam o światełkach i zakopanych pieniądzach, a wracaj szczęśliwie z drogi!

Stanisław nieodpowiedziawszy na to, roześmiał się tylko, zaciął konie i pojechał z Szymonem za innymi. Jeszcze było rano, kiedy przybyli do miasta, a włożywszy na wóz worki ze zbożem, ruszyli z kupcem w podróż. Ponieważ gościniec był dobry, ubywało im szybko drogi, z czego kupiec był zadowolony, bo sobie życzył, żeby chociaż na noc przybyli do znajomego oberżysty, u któregoby nie tylko oni, lecz i konie mogły sobie wypocząć. Pod wieczór pokryło się pogodne niebo chmurami i wietrzyk powiéwał od zachodu. Zmęczone konie Stanisława zaczęły ustawać, bo od południa nie spoczęły. Wnet ciemność zakryła pola, tylko niekiedy księżyc wysunawszy się z za chmur oświetlał drogę naszym podróżnikom. Zamyślony Stanisław popędzając konie, zapalił fajkę, aby rozpędzić smutne myśli, tłoczące się do jego głowy. Lecz i fajka nie potrafiła go rozweselić, albowiem sen wbrew jego woli osiadł na jego powiekach. Ujechawszy dosyć wielki kawał drogi, ocknął się trochę i spoglądał zamglonemi oczyma po obszernych łąkach i wpatrywał się w krzaki, w których kiedy niekiedy coś zaszeleściało. Aż spojrzawszy na dalszą przestrzeń, ujrzał płomyk, który zabłysnął i zniknął w oddali. Jakby iskrą elektryczną przerażony zeskoczył z wozu, przystąpił do Szymona, który jechał za nim i ledwie wyjąknął, że ujrzał światełko. I Szymon spostrzegł w téj chwili płomyk blady, unoszący się w powietrzu. Wyrwał czémprędzéj podkólek od wozu, i biegł prędko na miejsce, gdzie widział światełko, nie czekając na Stanisława i nie słuchając jego napomnień, kto zostanie przy wozie?...

Na przodzie jadący furmanie, sądząc że ich towarzyszom zepsuło się co u wozu, nie czekali na nich i pojechali daléj. Stanisław nie chcąc się dać wyprzedzić Szymonowi, zapomniał w téj chwili o koniach i wozie, i biegł, co sił starczyło, za nim. Kiedy zmęczeni przybiegli na miejsce, na którém unosiło się światełko, zapytał się Stanisław Szymona, gdzie znikło?...

— Zdaje mi się, że w tém samém miejscu, na które rzuciłem podkólek!

— Kopmy spiesznie! — były słowa Szymona.

Wzięli się więc gorliwie do pracy. Szymon wykopywał ziemię podkólkiem, a Stanisław nie mając żadnego narzędzia, wyrzucał ją rękami. Po półgo-

dzinnéj pracy nie zadźwięczała jednak żadna moneta, tylko niekiedy kamień uderzony żelazem u podkółka, wydał głos, lecz nie podobny do brzęku pieniędzy.

— Dwa kroki chybiłem; kopcie wy teraz w tém miejscu, Stanisławie, boja już na oczy patrzéć nie mogę, a w głowie mi się kręci, — mówił zmęczony Szymon. Ów nie tracąc jeszcze nadziei, wziął czémprędzéj podkólek do ręki i kopał mozolnie ziemię. Wykopawszy dosyć wielki dołek, nie znalazł i tu żadnego skarbu. Osłabieni na siłach, poszli do swych koni. Lecz jakież było ich zdziwienie, a raczéj jakiż strach ich ogarnął, kiedy przybywszy na gościniec, koni z wozem nie spostrzegli!... Osłupiały i trwogą przejęty Stanisław załamując ręce, wyrzucał Szymonowi jego nieostrożność. On jednak pocieszał go, że może towarzysze nie widząc przy koniach nikogo, uprowadzili je z sobą. I nie mając innéj rady, udali się pieszo w drogę. Uszedłszy kawałek drogi, ujrzeli w oddali chatę, w której się jeszcze świéciło. Wstąpiwszy do niéj, uderzył ich widok schorzałéj i wynędzniałéj kobiéty, która prawie ostatni oddech z piersi wydawała. W całéj chacie nie było nikogo, oprócz młodego, wychudłego człowieka, który siedział przy łóżku choréj.

Zapytali się go czy nie słyszał turkotu jadących wozów, ale on strapiony powiedział, że nie wié czy żyje na świecie....

Idą tedy daléj i lamentują. Stanisław marzy o nieszczęściu a Szymonowi się zdaje, że widzi żonę z małém dzieckiem na rękach, z zapłakanemi oczyma i rozpuszczonemi włosami.

— Na miłość Boską! coście wy mi narobili? — przemówił Szymon.

— Samiście sobie winni! — odrzekł Stanisław. — Trzeba było jednemu zostać przy koniach....

— Ale na coście mię — gadał Szymon — utwierdzali w wierze, że przez światełko odkryję pieniądze?... O już jak długo żył będę, nie dam się skusić takim banialukom!

Stanisław na to nic nieodpowiedział.

Idą i biegną daléj, ale nigdzie żywéj duszy. Aż dopiéro na drugi dzień w południe znużeni i skłopotani przybyli do miasteczka, w którém zastali swoich ludzi.

— A cóż wam takiego? Gdzież konie?—pytają zdziwieni gospodarze.

— To tu nie ma naszych koni? — zapytał przelękniony Szymon.

— A nie ma! — odrzekł jeden furman.

— O gwałtu! — zawołał Szymon. —Co ja będę robił? Z czém powrócę do mojéj żony?...

— Ho, ho! — zauważył inny furman — to pewnie jest sprawka cyganów, których spotkaliśmy w drodze?...

W tém nadszedł kupiec i dowiedział się, co się stało.

— Dobrze wam tak — przemówił — nie chodźcie za błędnemi światełkami!

Ale na myśl przyszło mu zboże. Idzie czémprędzéj z Stanisławem i Szymonem do policyi i rozpowiada o całéj sprawie. Na usilną prośbę kupca wysłano zaraz ludzi i ledwie po dwóch dniach udało się im odszukać cyganów, u których znaleźli konie i wozy ze zbożem w lesie.

Stanisław i Szymon ponieśli wielką stratę, bo musieli nagrodzić szkodę kupcowi, a i w policyi zapłacić, co się należało. A co przytém mieli ambarasu, kłopotu i zmartwienia, to wam nie trzeba opisywać. Mówili tedy do siebie:

— Tak nas wywiodło w pole błędne światełko, bośmy o nim błędne mieli pojęcie. Szczęście tylko od Boga, że się przynajmniéj tak zakończyło!

Kiedy wrócili do domu, wnet dowiedziała się cała wieś o ich wydarzeniu, dlatego długi czas nie śmieli wychodzić z chaty. Ksiądz proboszcz dowiedziawszy się także o tém, zawołał ich do swego mieszkania, skarcił ich przesądy i zabobony i wytłomaczył im zjawisko światełek błędnych, które są tylko gazem, wytwarzającym się z moczarów i zapalającym się na powietrzu. Wypadek ten posłużył im za naukę, że nie trzeba zaniedbywać swéj pracy i szukać bogactwa w zjawiskach przyrody i w głupich zabobonach, bo tylko wytrwała praca robi człowieka szczęśliwym, sprowadza spokój duszy i przynosi błogosławieństwo Boże i prawdziwy dobytek do domu. *Jan Krawecki.*

KAROL KURPIŃSKI,

syn organisty, sławny muzykant.

(Dokończenie.)

I przydało się bardzo dobrze Karolkowi przy bożéj pomocy! Miał on jednego wuja w mieście Sarnowie, który tam był proboszczem, a drugiego wuja miał koło Lwowa, który był muzykantem przy kapeli we dworze u bogatego pana Polanowskiego.

Ojciec uradził z matką tak, aby dać Karolka do księdza wuja w Sarnowie, gdzie przy kapeli mógłby grywać w kościele i uczyć się daléj. Tak się stało. Karolek 14 letni chłopak grał z kapelą co niedziela i co święto w Sarnowie i niejeden dziwił się, że taki chłopak potrafił już przy kapeli wygrać wszystko. Karolek był bardzo stateczny i przykładny, słuchał księdza wuja, uczył się ciągle, a nigdy nie poszedł grywać na wesele albo na zabawę, bo u niego muzyka była rozrywką niewinną w domu, a potém grał na chwałę boską, na naukę taką, aby mógł potém drugich uczyć i z tego zarobku żyć uczciwie i przykładnie. Muzyka była mu nauką, pracą do dobrego. I tak był w Sarnowie 2 roki, od wszystkich lubiony i do różnych panów po dworach brany, gdzie grał i za to pieniążki brał i dobrze się miał, a nie raz to ojcu co nieco posłał, a matce swojéj kupił zawsze jaki upominek, kiedy do domu przyjechał. Wyuczył się tak muzyki na skrzypkach, klawikorcie, klarnecie, basach i przeróżnych rzeczach, że mógł sam kapelę miéć swoją. Ale w Sarnowie nie było już czego się uczyć, bo umiał wszystko, trzeba było pójść daléj w świat na naukę. I znowu Bóg mu dopomógł! Dobrze to ludzie gadają:

— Niechcącego Bóg popycha, a chcącemu dopomaga. Kto nie słucha tego głosu, tego ciężko za to smaga. A Karolek szedł ochotnie za tym głosem Boga. Otóż przyjechał do Sarnowa na plebaniję odwidzić księdza drugi wuj ode Lwowa, co to był przy kapeli we dworze u bogatego pana Polanowskiego. Zaczął on grywać z Karolkiem na próbę, a jak zmiarkował, co 16-letni Karolek znał z muzyki, wtedy mu mówił:

— W Sarnowie nie ma dla ciebie nauki; jedź ty ze mną do Lwowa, tam są różni i uczeni muzykanci, od nich dowiesz się różnych sposobów do grania jeszcze lepiéj. A choćby ci przyszło i pobiédować mało wiele, to to wszystko dla twego dobra, bo kto za młodu ucząc się pobiéduje, ten na starość mocno

się raduje — a kto za młodu próżnując rozkoszuje, ten na starość zapłacze i nabiéduje się po same uszy i w nędzy ginie.

Na to dobre gadanie wuja Karolek z ochotą zabrał, co miał swego, podziękował księdzu wujowi za pomoc przez 2 roki w Sarnowie, prosił ojca i matkę o błogosławieństwo na daleką drogę, a oddając się w opiekę Bogu, pojechał przez Kraków, Tarnów aż do Lwowa znowu na naukę i nową turbacyję. Niejeden byłby się nie ruszył z Sarnowa, gdzie było co jeść, w co się ładnie ubrać i można było przy kapeli do śmierci żyć, ale Karolek szedł za głosem Boga i radą dobrych ludzi i szukał nauki lepszéj i lepszego szczęścia na świecie dalekim. I znalazł czego chciał przy pomocy bożéj!

Jadąc z wujem do Lwowa, powtarzał sobie słowa dobre, jakie mu ksiądz wuj w Sarnowie zawsze powtarzał, aby się uczył i pracował: — Idź w świat, młodzieńcze, pracuj, ucz się i biéduj śmiało, a szczęście ci nie uciecze, choćby cię z początku opuszczało.

Przyjechał do Lwowa, młody, bo 16 lat dopiéro co skończył, nikomu nieznajomy, bo tylko Bóg i on wiedział o tém, że przyjechał do wielkiego miasta, nie na zbytki, próżnowanie i marnowanie grosza i czasu drogiego, ale po nową pracę i naukę, a w końcu, co Bóg da. Pobiédował nieco, poduczył się dużo rzeczy, przypatrzył się głupiemu światu, co to z dnia na dzień żyje, używa i marnie ginie, i znowu przypatrzył się dobrym ludziom, co to po nocach i we dnie pracują, uczą się, aby służyć Bogu i krajowi, i postanowił sobie tak w duszy, że za złymi ani kroku nie pójdzie, a do dobrych przystąpi, aby razem pracować, uczyć się i dorobić się kiedyś czegoś. I dotrzymał tego, a za to dał mu Bóg nagrodę taką, że jak go pan bogaty Polanowski poznał i wyrozumiał, co on to umie i jakito z niego chłopak dobry i do rzeczy, zabrał go z miasta do swego dworu i powiada mu:

— Zostań u mnie, będziesz miał pieczone i smarzone, a po wuju twoim otrzymasz miejsce kapelmistrza i będziesz miał pod sobą całą moją dworską kapelę, będziesz uczył grać drugich chłopaków i moje dzieci, a potém dostaniesz folwark jaki w nagrodę i zostaniesz panem.

Przystał na to Karolek, bo to było dla niego lepsze, niż miał w Sarnowie. Był odtąd u pana Polanowskiego za Lwowem, uczył chłopaków wiejskich trąbić na trąbach, grać na skrzypcach, basach i różnych rzeczach i było mu to miło, że pomagał do szczęścia drugim chudakom. Powtarzał on zawsze. „Czegoś się sam z biédą nauczył, nie żałuj drugiemu, jak tobie z tém dobrze, tak będzie każdemu.“

Napisał też i do domu i do księdza wuja w Sarnowie, jak mu było dobrze i dziękował za dobrą radę i za dobry początek w nauce. Pan Polanowski brał go często do Lwowa, kupował różne książki do nauki dla niego, brał go do różnych dworów z sobą i chwalił się przed panami, że ma nauczyciela i kapelmistrza młodego i z stanu ubogiego u siebie. A Karolek czytał i grał po nocach, bo pamiętał sobie słowa ojca, że nauka nie ma końca, że nikt dotąd nie umié i nie potrafi wiedzieć wszystkiego. Ale szczęście się lubi zmieniać. Dobrze mówią starzy: „Raz ledwo szczęście się nada, a sto razy upada.“

Tak się stało i Karolkowi. Umarł wuj jego a potém i sam pan Polanowski. Trzeba było szukać znowu jakiego miejsca. Ale za prawdziwą nauką chodzi szczęścia, a za głupotą nieszczęście. Pani Polanowska chciała dotrzymać słowa męża nieboszczyka i powiada do Karola:

— Panie Karolu! mąż mój obiecał ci folwark, jeżeli chcesz, to go masz.

Karol podumał trochę i rzecze:

— W muzyce jestem majstrem, a w roli dłubać nie potrafię, wolę zatém służyć Bogu i ludziom tém, co umiém dobrze, niż tém, czego nie umiém, wszak to niepięknie porywać się na to, czego kto nie rozumié; niech sobie siedzi na folwarku jaki stary i zasłużony ekonom, a ja sobie znajdę chléb na świecie. A jeśli pani taka łaskawa dla mnie, to proszę całą moją zasługę we dworze obrócić na naukę dla chłopaków wiejskich.

Zdumiała się na to pani i powiada:

— Bardzo dobrze, zrobię tak; a jest to Bogu i ludziom miłe, kiedyś ty pracował tyle lat i całą pracę ofiarujesz na naukę ubogich dzieci.

I nie wziął nic Karol z sobą, ale zostawił dla ubogich. Za to odebrał zaraz zapłatę, bo gdy się o wszystkiém dowiedzieli ludzie, znalazł się zaraz drugi pan jeszcze bogatszy, pan starosta Rastawiecki, który wziął Karola do siebie, aby mu uczył dzieci muzyki. Ale Karolowi zawsze coś szeptało: „Idź do wielkiego miasta, tam potrzeba muzykantów takich jak ty.“ Otóż usłuchał tego głosu i pojechał do Warszawy. Tu dopiéro dał się poznać, co on to umie, cała Warszawa znała go z muzyki, wszyscy go do siebie zapraszali, najbogatsi go szanowali, złotem i cukrem karmili i prawie na rękach go nosili, a znowu po Warszawie poznali go naokoło wszyscy Polacy. Przeżył w Warszawie 30 lat; tak mu tam było dobrze, miał wszystko, czego jeno potrzebował, miał łego miał to, czego i bogacze nie mają zawsze, ado sławę i imię dobre na całą polską krainę i w całym świecie. Gdy się zestarzał, to mu Warszawianie dawali pensyę znaczną, aby miał za co żyć. Napisał też różne książki o muzyce, i do dziś wygrywa sobie nie jeden muzykant to, co Karol Kurpiński z głowy swojéj ułożył. Umarł roku pańskiego 1857 w Warszawie, a na grobie ma krzyż z napisem: „Karol Kurpiński sławny muzykant polski, wieczny odpoczynek mu i chwała.“ — Przeżył 72 lat, a wszystkim rolnikom zostawił przykład, jak to można się dorobić wszystkiego za życia pracą, nauką, wytrwałością.

A wy ojcowie, co to czytacie, pamiętajcie doradzać i pomagać dzieciom, aby się między ludzi w świat puszczały i pracą, nauką na życie sobie zarabiały, a wy dzieci polskie, nie siedźcie na kupie w chałupie i nie procesujcie się o zagon, ale idźcie między ludzi, uczcie się wszystkiego dobrego, a znajdziecie takie szczęście, jakie znalazł Karol Kurpiński, syn ubogiego na wsi organisty.

Żyjcie z Bogiem!

Ksiądz Wojciech z Zaleszan.

CO SŁYCHAĆ W ŚWIECIE?

Po zerwaniu układów o zawieszenie broni przez Francuzów, którzy spostrzegli i zrozumieli [chytry zamiar Prusaków, ogłodzenia Paryża przez czas zawieszenia broni, dochodzą nas pomyślniejsze dla Francuzów wiadomości. I tak dla zabezpieczenia armii pruskiéj otaczającéj Paryż przed atakami nowo u-

formowanéj armii césarskiéj francuzkiéj, wysłali Prusacy korpus większy Bawarczyków i Prusaków pod dowództwem jen. Tann. — Zreorganizowana pod kierownictwem Gambetty armija nadloarska, która może liczyć od 60—80.000 po części nawet doborowego żołnierza, zadała Prusakom piérwszą znaczniejszą klęskę, jaką ponieśli od czasu rozpoczęcia wojny. Korpus bawarski jen. von der Tann, liczący najmniéj 30.000 ludzi, został mocno pobity i ze znacznemi stratami musiał się cofnąć do Toury, 5 mil od Orleanu przy drodze do Paryża.

Ogólna strata korpusu Tanna w bitwie z d. 9. i 10. b. m. wynosić ma około 4 do 5.000 ludzi. Armija francuzka groziła mu obejściem Orleanu od strony północno-zachodniéj i odcięciem od Paryża — musiał tedy zająć pozycyję pod Coulmiers, gdzie próbował daremnie stawić czoło Francuzom, i wyparty został do Saint-Peravy. Tymczasem atoli posunęli się Francuzi na drogę z Orleanu ku Paryżowi wiodącą, i Bawarczycy w nocy jeszcze musieli się dobrze uwijać, by dotrzéć do Toury.

Francuzi odnieśli więc pod Orleanem wielkie zwycięztwo, gdyż sam jen. Tann taki raport składa: — Patrole rekonesansowe doniosły 8. i 9., że nigdzie niema ani śladu wojsk francuzkich. 10. doniosły patrole kawaleryi, że francuzkie wojska na gościńcu z Blois wyruszyły. Wskutek tego wysłano brygadę na Beaugenoix. Nieprzyjaciel posuwał się ku Orleanowi, prawém skrzydłem opiérał się o Loirę, lewém skrzydłem zmienił front naprzód na lewo i rzucił się przemocą na wysuniętą brygadę. Zaczęła się krwawa bitwa. Francuzi mimo najsilniejszego ognia naszéj artyleryi, który ich zmiatał, zaatakowali nasz główny front, zdobyli z wielkiemi ofiarami trzy wsie i zagrozili naszym bokom. Nie mogąc liczyć na blizką pomoc, i gdy nieprzyjaciel rozwijał nadzwyczaj silne kolumny, nakazany został odwrót na Arnay Orieres. Tutaj wszystkie drogi ludność zabarykadowała i popsuła zasiekami na rzecz Francuzów, co zmuszało do częstego zatrzymywania się, z czego korzystając Francuzi, ponowne ataki przypuszczali. Powstała tu sławna bitwa działowa i karabinowa. Pośpiech odwrotu został nakazany. Straty nasze bardzo są znaczne. Według dotychczasowych raportów wynoszą 3 oficerów sztabowych, 58 wyższych, 2.700 ludzi, nie licząc zagubionych, kilka dział zdemontowanych, 30 wozów z amunicyją. Trzecia dywizyja straciła wszystkie swoje furgony, gdyż została odciętą. Francuzi ponieśli zapewne również wielkie straty."

Widać więc z tego raportu, że Tann wyprowadził wojsko swoje po za Orleans, ale nigdzie nie mógł utrzymać stanowiska. Francuzi z wielką zaciętością naciérali i mieli ze sobą liczną artyleryję i kawaleryję, która się im wielce przydała. Francuzki jen. Orel-Paladine maszerował z zachodu, a całą dywizyję kawaleryi pod dowództwem Paliere wysłał od wschodu Orleanu, i tak we dwa ognie dostali się Niemcy. Francuzi nie dawali pardonu, jazda francuzka rozbiła dwa pułki piechoty niemieckiéj. Jeden oddział niemieckich huzarów zapędzili Francuzi w moczary, gdzie ich wytępili. Tak walka trwała 9. bm. przez cały dzien i ponowiła się znowu d. 10. o czém jednak Prusacy nic nie wspominają. — Armija loarska liczy już około 80.000 ludzi. W Orleanie założyła sobie obóz i sypie okopy w okolicy; z tego oszańcowanego obozu będzie mogła robić ciągłe wycieczki. W Orleanie zostawili Niemcy 800 rannych i chorych po szpitalach. — Hr. Keratry zorganizował już także swoje wojsko w Bretanii liczące 40—50.000, i spieszy od zachodu, aby się połączyć z armiją loarską. Dnia 8. zajął Chateaudun. Tak dzień 10. będzie pamiętnym dla Francyi.

Według urzędowych raportów z Tours, połączyły się armije loarska i bretońska, któremi dowodzą Orel de Paladine i Keratry. Obie razem liczą 90.000 ludzi. — Bourbaki z swoją armiją liczącą 20,000, wyruszył z Amiens, aby się także połączyć z armiją loarską, i jak piszą gazety, już się połączył, chociaż ruchy armii francuzkiéj trzymane są w wielkiéj tajemnicy, by Prusaków z nienacka napaść.

Armija pruska jest więc prawie cała uwięziona pod Paryżem; Francuzi chcą odciąć jéj dowóz żywności z kraju, i napaść na nią równocześnie z armiją jenerała Trochu z Paryża; podwójny atak z przodu i z tyłu mógłby zgnieść Prusaków. — Prócz tych armiji tworzy rząd francuzki armiję pod Tuluzą 60.000 ludzi pod dowództwém jenerała Perin i asygnował na to 4 milijony franków, — a jeszcze jedna armija lijońska przygotowuje się bronić Lijonu, jak z Lijonu donoszą d. 10. bm.: że w Chagny czynią Francuzi wielkie przygotowania obronne; 30sto lub 35tysięczna armija francuzka ma tam czekać na przybycie Niemców. Garibaldi także się tam udał z całym swoim korpusem; d. 8. bm. przechodził przez Macon. W Lijonie bardzo gorliwie się zbroją. Prefekt tamtejszy ustanowił komitet barykadowy, a gwardyja narodowa ciągle jest zajęta sypaniem nowych szańców. Ludność wiejska z całém swém mieniem tłumnie się chroni do miasta przed najazdem Prusaków. Lijończycy pełni są ochoty do walki i tak jak Paryżanie do ostatniego tchu życia chcą się bronić. Przytém wiele liczą na nowe olbrzymie działa, które pierwotnie przeznaczone były dla obrony Paryża, ale nie mogły na czas być odstawione, nim jeszcze obsaczenie nastąpiło. Utrzymują, że rzucają pociski na odległość 12,000 metrów tj. półtoréj naszéj mili. — Lijon jest drugiém największém miastem we Francyi po Paryżu. Paryż ma być jeszcze dobrze zaprowiantowany. Mięsa wołowego wprawdzie już mało, ale kilkadziesiąt tysięcy jest koni na rzeź, a warzywa, mąki i wina podostatkiem. — Nie ma więc obawy tak rychłego ogłodzenia Paryża; wszystkie ruchy wojsk francuzkich przemawiają za tém, iż lada dzień przyjdzie do stanowczego kroku. — Armija paryzka gotowa do wycieczki.

Jen. Trochu utworzył w Paryżu trzy armije. Piérwsza liczy 266 batalijonów gwardyi narodowéj pod dowództwem jen. Thomas. Druga pod dowództwem jen. Ducrot składa się z trzech korpusów, liczących 9 dywizyj. Trzecia armija, którą dowodzi jen. Trochu sam, złożoną jest z 7 dywizyj.

Zresztą zapał we Francyi jest niesłychany; każdy daje ostatni grosz więcéj jak żądają na uzbrojenie, i tak rada gminna miasta Brest, od któréj żądano 100.000 fr., uchwaliła 250.000 fr.; gminy bretońskie w ogóle dostarczyły 750.000 fr. więcéj, niż od nich wymagano, a prefekt departamentu Creuse nakazał gminom tegoż departamentu, by niezwłocznie złożyły 1,300.000 fr. na uzbrojenie 6.500 ludzi.

Piękny przykład miłości ojczyzny dał patryjotyczny biskup z Angers, który wydał postanowienie, mocą którego seminarzyści, którzyby się do służby wojskowéj za słabymi okazali, mają być użyci do pielęgnowania chorych w armii francuzkiéj; inni zaś otrzymają pozwolenie do czynnéj służby, by z bronią w ręku walczyli za całość i wolność swojéj ojczyzny.

Nie brak Francuzom i na broni, gdyż Ameryka dostarczyła dotychczas Francyi 400.000 sztuk broni 50 milionów ładunków, 50 dział; 2000 rewolwerów, a w głównych fabrykach francuzkich ciągle działa leją.

Wielka bitwa jest więc oczekiwaną, teraz zachodzą same mniejsze utarczki, i tak najnowsze telegramy przynoszą nam wiadomości z Vervies, że gwardyja narodowa i załoga w Mezieres uczyniły wycieczkę 17 bm. zabiły 500 nieprzyjaciela i wzięły jedno działo.

Prusacy chcieli 18 bm. rzucić most przez Mosę, nie zdołali jednak tego uczynić, i że w bitwie pod Harcy uczyniono 200 Prusaków niezdolnymi do walki, też mówią nieustannie o szczęśliwéj wycieczce w Belfort; bliższych jednak szczegółów niema.

Możemy zatém mieć niepłonną nadzieję, iż wojna pomyślnie jeszcze dla Francuzów skończyć się może.

Austryja. *Rada państwa.* W izbie panów toczą się rozprawy nad adresem. Wszyscy mowcy uderzają na ministerstwo Potockiego, które starało się o ugodę; potępiają Czechów i federalistów, a zarzucają Polakom galicyjskim, iż myślą o braci po za Austryją, (jak gdyby Niemcy także nie myśleli o swéj braci poza-austryjackiéj.) Słowem cały tok rozpraw nie bardzo pociesza. Uchwalili też Niemcy wiedeńscy adres przeciw ministerstwu hr. Potockiego. Césarz odroczył radę państwa po uchwaleniu adresu i wyborze do delegacyi wspólnych. Polacy nie głosowali przy adresie.—Mówią, iż ministeryjum podało się do dymisyi, i że Césarz polecí hr. Potockiemu utworzyć nowe.

Rosyja i Turcyja. Jeszcze się jedna wojna nie skończyła, a już grozi nowa Rosyi z Turcyją. Rząd rosyjski wypowiedział Turcyi traktat paryzki z roku 1856 a mianowicie artykuł XIV. tego traktatu.

Traktat ten jest wynikiem wojny krymskiéj i stanowi, że Rosyi nie wolno jest trzymać floty wojennéj na Czarném morzu i zapuszczać się na wody tureckie. — Rosyja więc nie pragnie zmiany kilku artykułów tego traktatu, ale po prostu targa cały traktat, by zniweczyć jednym zamachem tak drogo okupiony owoc wojny.

Kanclérz rosyjski ks. Gorczaków rozesłał w tych dniach równobrzmiący okólnik do wszystkich mocarstw, które ów traktat podpisały, tj. do Wiédnia, Paryża (Tours), Londynu, Berlina, Florencyi i Konstantynopola, i uwiadamia te mocarstwa, że Rosyja nie może daléj znosić upokorzenia, jakie jéj tym traktatem wyrządzono, i że car ze swéj strony nie czuje się nadal zobowiązanym do przestrzegania tego traktatu.

Cóż uczynią teraz mocarstwa, mianowicie Anglija, Austryja i Turcyja? W r. 1856 d. 16. kwietnia zawarły Anglija, Francyja i Austryja jeszcze osobną ugodę między sobą téj treści: Każde naruszenie artykułów traktatu paryzkiego z d. 30. marca uważają te trzy mocarstwa jako wypadek wojny.

Francyja sobą zajęta; gabinet angielski wysłał wprawdzie do Petersburga ostrą notę protestującą, ale obawiać się można, iż na protestacyi zakończy nie mieszając się w wojnę. Austryja nie chce wojny, wskutek różnych okoliczności, tylko jedna Francyja nie chce ustąpić i bardzo się zbroi. Rosyja miała już postawić kilkadziesiąt tysięcy wojska na granicy tureckiéj, — a zrobiła ten krok w porozumieniu z Bismarkiem, który przyrzekł Rosyi swoją pomoc, jeżeli będzie się spokojnie gospodarstwu Prusakow w Francyi przypatrywać. Położenie jest więc groźne, — choć wojna jeszcze nie wypowiedziana.

Hiszpanija. Na posiedzeniu kortezów (sejmu) wybrano królem hiszpańskim, księcia d'Aosta, Amadeusza, syna króla włoskiego 191 głosami przeciw 101. Za republiką oświadczyło się głosów 63.

Wydawca S Jordan. W drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.